

Marek Samselski

Przy stolikach na Francuskiej



Marek Samselski

PRZY STOLIKACH
NA FRANCUSKIEJ

© Copyright by Marek Samselski & e-bookowo

Projekt okładki: Przemysław Kozak

ISBN e-book 978-83-7859-891-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2018

Agnieszka Osiecka, Jerzy Gruza, Stanisław Sojka – anegdota tutaj nie opowiadają – oni grają w nich główne role. Wspomnienia „Pogodni znad olsztyńskich jezior” Marka Samselskiego pełne są właśnie takich anegdot będących jednak prawdziwymi, często szalenie zabawnymi wydarzeniami z udziałem rzeczywistych postaci. Zdaje się, że o niektórych, ich bohaterowie woleliby zapomnieć, ale prawem symetrii – obok pięknych uczynków spełniają się i brzydkie. Autor barwnie opisuje lata spędzone na warszawskiej Saskiej Kępie – ostatnie lata cyganerii warszawskiej, jak je nazwał – ale także „klimatyczne” miejsca w rodzinnym Olsztynie, Wiedniu, Berlinie... Na Francuskiej mamy konkurs męskich nóg na barowej ladzie z inicjatywy Osieckiej, a w Berlinie Niemców całujących drzewa po obaleniu muru. Tytułowi „pogodni” to olsztyniacy, którzy wyruszyli w świat, ale też przybysze ze świata, którzy pokochali olsztyńskie jeziora i nad nimi się osiedlili.

Autor opisuje swoje przyjaźnie z ludźmi sztuki, ludźmi mediów emanujących swoją kreatywnością, swobodą ducha i „dobrą energią”. Szczególną rolę w tych wspomnieniach odgrywają kawiarniane serwetki, które przyjęły (na siebie) teksty powstałych wtedy piosenek, fraszek, kalamburów. A jakie wtedy powstawały erotyki...

I

Moje bliskie spotkanie z ulicą Francuską odbyło się w połowie lat dziewięćdziesiątych. Mieszkałem wtedy przy Nowym Świecie, numer 48, i przeprawa na Saską Kępę przez Most Poniatowskiego była kwestią kilku minut. Jednak musiał być znaczący powód i szczęśliwy zbieg okoliczności, by znaleźć się na Francuskiej, pomieszkać przy niej i poczuć jej niepowtarzalny klimat. Tworzyli go mieszkańcy Saskiej Kępy i szczególnie jej bywalcy.

Solą tych wspomnień są anegdoty opowiadające prawdziwe historie z prawdziwymi postaciami w rolach głównych. Sięgać będą również lat dużo wcześniejszych od połowy lat dziewięćdziesiątych. Istotny jest rok 1994 i sama ulica Francuska, gdyż wtedy to zaprzyjaźniłem się z Arturem Turalskim, a on od dawna zaprzyjaźniony z Saską Kępą, któregoś dnia zaprosił mnie do kawiarni Sax. Powiedział, że chciałby mnie poznać z jej bywalcami. I właśnie podczas tego mojego pierwszego spotkania przy kawiarnianych stolikach na Francuskiej padło zdanie Artura – Marek, zapisuj to, zapisuj i wydaj kiedyś. Pracowałem wtedy dla kilku wydawnictw jednocześnie. Stale pisywałem, będąc przez jakiś czas redaktorem na etacie, dla Prószyńskiego i S-ka, Grun+Jar; także dla Super Expressu, pisma SHE, potem dla wydawnictwa Bauer i jego najpopularniejszego przedstawiciela kolorowej prasy, plotkarskiego

pisma Życia na Gorąco. Temat prasowy na pewno będzie się w tych wspomnieniach często pojawiał. Arturowi podobало się moje zamięlowanie do zabawy słowem i zwyczajnie lubił mnie czytać. Z czasem zaczęliśmy wspólnie pisać teksty piosenek. No i zgodnie z tym, co Artur powiedział, a wypowiedział sporo proroczych słów, zapisywałem i nadal zapisuję o ludziach i wydarzeniach.

Lubię zasiadać z ludźmi, którzy późno wstają – tak powiedział Leonard Cohen. Lubię zasiadać z ludźmi, którzy budzą się pogodni – to Artur. W tych wspomnieniach będzie przede wszystkim o nich, o postaciach z głębokimi pokładami akceptacji przeróżnych przecież osobowości, z pogodą ducha i dobrą energią. Bo bez nich, bez klimatu tamtych miejsc, tamtych lat, nie byłoby tekstów na serwetkach. Była kreacja, to przejdźmy do restauracji... kreacji.

Artur jest artystą plastykiem; projektantem mody, scenografem, malarzem, rzeźbiarzem, czyli artystą renesansowym. Jest facetem potrafiącym robiąc salto zatrzymać się w połowie i stanąć na głowie. Z gatunku tych, co to nigdy się nie poddają, nazwałem go kiedyś Artur Pierwszy Mocny i z chęcią to powtórzyli organizatorzy podczas otwarcia jego wielkiego wernisażu, który odbył się na kilku piętrach w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Jest facetem, który robiąc salto potrafi zatrzymać się w połowie i stanąć na głowie, a to już jest sztuką. Zadeedykowałem mu piosenkę, a jej fragment recytowany był szerokiej publiczności, też podczas wydarzenia artystycznego, uniwer-

syteckiego wernisażu jego malarskich dzieł. Taki fragment piosenki:

Ile razy zdobywałeś dach
jednym skokiem pokonałeś strach
Ile razy jak szalony krzyczałeś
ruszał kamień, toczył się, tak chciałeś
Powiedziałeś, że wrócisz
wrócisz, gdy pokonasz
z wrogów największego, swego wroga
W tobie mieszka ten atleta
więc ja czekam

Kiedy go poznałem nazywany był już maskotką warszawskiej cyganerii. Maskotką nie dlatego, że można było nim się bawić; raczej z nim, a ta maskotka oznaczała symbolicznego przedstawiciela. Cyganerii, oczywiście. Jeśliby przyczepić Turala do breloczka z kluczami, to wiadomo, że byłyby to klucze do warszawskich galerii, pracowni, knajp i mieszkań muzyków, plastyków, sportowców i literatów. W tych mieszkaniach wiszą obrazy i rysunki jego autorstwa, a niektóre knajpy i kluby sam projektował. Na przykład klub jazzowy Akwarium przez długie lata wyglądał tak jak wyglądał dzięki pomysłowi i ręce Artura. Podobnie jak klub Scena przy ulicy Armii Ludowej, czy restauracja Maska przy Obrońców na Saskiej Kępie, o których będzie, jak i o reżyserze Jerzym Gruzcie, niejako patronie tych lokali. Pamiętam, kiedy pierwszy raz wędrowałem do Sceny, gdzieś przy Mokotowskiej zapytałem nobliwie wyglądającego pana o ulicę Armii Ludowej. Spojrzał na mnie surowo i powiedział, że takiej ulicy nie powinno być w Warszawie i zapewne nie ma. O Scenie i reżyserze Gruzcie jeszcze będzie.

A Turalskiego poznałem nocą w Harendzie, w pubie, który wtedy otwarty był bez żadnej przerwy. Artur był w towarzystwie dziewczyn śpiewających i tańczących w wieczorami w musicalu Metro, ale nie przeszkodziło to w waszym wspólnym męskim uzgodnieniu, że obaj jednakowo kochamy najwspanialszy zespół rockowy świata, czyli Rolling Stones, a także jednakowo jesteście zakochani w książce Wiwisekcja Patricka White'a. Niedługo po naszym pierwszym zapoznawczym spotkaniu świętowaliśmy przejście w posiadanie galerii – pracowni przy Nowym Świecie, tuż obok której mieszkałem. Pomogłem Turalskiemu wynająć od śródmiejskiej administracji mieszkaniowej lokal – piwnicę przeznaczoną na ten szczytny cel i to wybitnie scementowało naszą przyjaźń. Załatwienie w takim miejscu lokalu, w ciągu dwóch miesięcy i wynajęcie go za niewielkie pieniądze, graniczyło z cudem. Nie obyło się bez pomocy prasy i wyjątkowej postaci pana Szczepana Nowakowskiego, właściciela galerii Atena, sprzedającej dzieła sztuki. I co godne uwagi, promującej obrazy mało znanych i młodych artystów.

Do tej galerii wejście było z podwórza; w czasie naszej kampanii na rzecz zdobycia pracowni Artur zapraszał na podwórze swoich przyjaciół; zaśpiewał tam wtedy Robert Gawliński, wpadali i tańczyli ludzie z musicalu „Metro”. Spodobało się to okolicznym mieszkańcom, no i dobrze, bo ich zgoda na wykorzystanie na pracownię piwnicy kamienicy, była potrzebna. Pamiętam, że jeden z lokatorów nie chciał wyrazić zgody, ale po krótkiej rozmowie z nim

pana Szczepana od Ateny (tematem był mało znany i raczej wstydlivy epizod z przeszłości owego lokatora) zapadła jednomyślność mieszkańców. Sam pan Szczepan w przeszłości miał stały kontakt ze sztuką zajmując niezłą pozycję w sieci antykwarycznej DESA, która według niego była między innymi pralnią pieniędzy czerwonych bonzów. W Atenie, jako antyk przeznaczony na sprzedaż, stał stół z gabinetu byłego prezydenta RP, Bieruta. Codziennie toczyły się przy nim rozmowy o sztuce i biznesie. Pan Szczepan przyjmował gości ze Wschodu i Zachodu biznesowego świata. Krzyżowały się tu interesy właścicieli hoteli w Izraelu, handlowców z Moskwy, czy poszukiwaczy antyków na terenie Niemiec, zwanym dawniej NRD.

Obok bramy, w kamienicy pod numerem 48, pod wynajmowanym przeze mnie na pierwszym piętrze mieszkaniem, prosperował butik z ekskluzywną damską bielizną, a wcześniej był to sklep z pasmanterią. Właścicielka, pani Teresa postanowiła, w dobie przemiany ustrojowej, biorąc pod uwagę, że to Nowy Świat, otworzyć butik z prawdziwego zdarzenia. A otwarcie było wydarzeniem i oprócz zaproszonych gości przyciągnęło tłumy przechodniów. Bo za wystawową szybą można było zobaczyć parę udającą manekiny, która co jakiś czas ożywała. Modelka jako żywa, w niedbale narzuconym futrze odsłaniała swoje piękne ciało obleczone w gustowny gorset i oczywiście majteczki. Obok niej gest podziwu okazywał prawdziwy mężczyzna w smokingu. W butiku facet w staniku na głowie obsługiwał klientów. Był to Piotr Wójcik, syn pani Teresy, któ-

rego talent w dziedzinie marketingu był nam pomocny i miałem okazję jeszcze nieraz go docenić.

Tak więc przetarg na piwnicę Turalski wygrał. Bez przewału. Pierwszą akcją o charakterze artystycznym, po uroczystym oblewaniu, było malowanie na różowo zielonych, okrągłych czubków metalowych palików, których dwa gęste szpalery wbito wzdłuż krawężników chodników przy Nowym Świecie. Pomysł władz miasta z tymi palikami był beznadziejny, według wszystkich gości pracowni komentujących wydarzenie, nasz pomysł był lepszy, zważywszy jeszcze, że różowy czubek ozdobiony był czerwoną kreską. Różowe czubki przetrwały jedną noc, nieszczerne zielone słupki zaczęto usuwać dużo, dużo później.

Ten pan Szczepan, bez którego pewnie by nie było piwnicy, to pomału wtedy odchodzący na emeryturę człowiek interesu, ceniący sztukę i oczywiście twórców. Miał też podziw dla ludzi potrafiących robić duże biznesy, co wyraził pewnego razu plastycznie, wspinając się na palce i unosząc ręce wysoko za słowami – Miał taaakie pieniądze. Przypadek, że wynająłem mieszkanie obok jego galerii, a wcześniej znaliśmy się i umożliwiłem mu wypowiedź w dzienniku Obserwator, no i spodobał się panu Szczepanowi Artur i to, co robi, wyzwoliło to w tym pierwszym energię niezbędną do pomocy w całej sprawie. Rozmawiałem przy prezydenckim stole z panem Szczepanem o potrzebie ratowania Obserwatora, dziennika o zasięgu ogólnopolskim, a ratunek mógł nadejść z Izraela. Dziennik założył Wiktor Kubiak, który wcześniej zainwestował w Janusza Józefo-

wicza i musical „Metro”, a była to pierwsza prywatna produkcja teatralna w powojennej Polsce. Niedługo potem zainwestował jeszcze w telewizyjne wydanie wiadomości Obserwator w publicznej Dwójce. Telewizyjna emisja szybko się skończyła, a „Metro” pojechało na Broadway zawojować Amerykę. Spektakl padł (zjechał go wpływowy nowojorski recenzent, chociaż na pociechę pięknie o nim napisał w Obserwatorze specjalnie wysłany do Nowego Jorku korespondent dziennika, Marcin Kydryński) i w tym momencie Kubiakowi zaczęło brakować pieniędzy, a właśnie, po długich i solidnych przygotowaniach, zaczął wychodzić jego dziennik Obserwator, w którego zespole zacząłem pracować.

Pamiętam, (pozwolę tu sobie wtrącić dygresję o charakterze nieomal politycznym), że sporo czasu i energii kosztowało mnie zebranie interesującego materiału na temat terenu po byłej polskiej ambasadzie w Berlinie. Zburzona została pod koniec II Wojny Światowej i po przeróżnych peregrynacjach na początku lat pięćdziesiątych wiadomo było przynajmniej tyle, że bajecznie drogi teren przy reprezentacyjnej berlińskiej Kurfürstenstrasse, jest polską własnością. Podjąłem się wtedy zadania wyjaśnienia, dlaczego tych polskich kilka tysięcy metrów kwadratowych porośniętych jest chwastami i trwa milczenie wokół tego tematu. W naszym konsulacie w Berlinie niewiele mi powiedziano, ale z innych źródeł zdobyłem informacje mogące rzucić jasny snop światła na całą sprawę. Niestety dział zagraniczny Obserwatora i także naczelny, zajęli

wobec niej stanowisko zachowawcze. Żeby nie powiedzieć strusie, albo wręcz zajęcze.

Naczelnym był Marek Kalbarczyk, a redakcja Obserwatora miała bardzo silny skład osobowy, spora część zatrudniła się potem w Gazecie Wyborczej. Takie przedsięwzięcie, jak wspomniany wcześniej ryzykowny wyjazd ze swoim teatrem na Broadway, należy zdaje się zwyczajnie ubezpieczyć. Kubiak tego nie zrobił i nastąpił krach finansowy, a próbę ratowania dziennika podjął rozmawiając z zainteresowanymi wykupem mediów biznesmenami, których poleciłem dzięki znajomościom pana Szczepana. Nie udało się, gdyż zainteresowani inwestycją w padający tytuł musieliby się zdecydować w ciągu kilku dni. A tak szybko w tego typu biznesie, decyzji się nie podejmuje. Nie chodziło oczywiście o brak odpowiednich pieniędzy na zainwestowanie w dziennik o zasięgu ogólnopolskim, gdyż inwestorów z Izraela swobodnie stać było na taki manewr, a właściwie deal. Chodziło raczej o zasady przy wchodzeniu na rynek mediów, a być może Wiktorowi Kubiakowi zostały postawione warunki nie do przyjęcia. To znaczy uznał, że tytuł Obserwator jest nie do oddania. Te trudne rozmowy odbywały się w warszawskim hotelu Marriott, a ich treść nie przeciekła do ludzi z redakcji.

Dziennik Obserwator, po kilkudziesięciu dniach ukazywania się, zszedł z rynku medialnego. Kiedy redaktor naczelny zebrał nas i ogłosił zamknięcie tytułu, odezwał się Jacek Gawłowski, rysownik i satyryk w jednej osobie, zwracając się z zadumą do naczelnego – Panie Marku, była

telewizja, padliśmy, była gazeta, padliśmy, teraz pewnie kolej na radio, tylko co ja w nim będę robił? Faktycznie, Kalbarczyk przerzucił się na radio, zajmując czas antenowy Programu II, proponował słuchaczom swoje intelektualne rozważania. Jak długo to trwało, nie wiem, nie śledziłem. O tym, jak nagle i niespodziewane było zejście Obserwatora z rynku, zaświadczył fakt, że jego redaktorka Bogna Świątkowska, która mnie na pracę w tym dzienniku namówiła, przysłała korespondencję z Izraela do nieistniejącego już tytułu. Bogna, moja krajanka olsztynianka, osiadła w stolicy, wymyśliła i prowadzi obecnie Fundację Nowej Kultury „Bęc Zmiana”. Jest w tę fundacyjną działalność kategorycznie zaangażowana, a efekty tego gołym okiem widać, czego dowodem jest opublikowana w roku 2012 sugestia Gazety Wyborczej, proponująca kandydaturę Bogny na stanowisko ministra kultury naszego pięknego kraju

Naczelnym redaktorskim wnioskiem w kwestii wydawnictw prasowych, jaki mi się nasunął w tych pierwszych latach dziewięćdziesiątych, to swobodny przepływ ludzi pomiędzy tytułami. Obce wydawnictwa, z Niemiec czy Włoch, chętnie zatrudniały zdolnych redaktorów i dziennikarzy, z tym, że większość z nich, otwierała w Polsce replikę sprawdzonego pisma i ludzie z rzeczywiście wielką inwencją twórczą, długo miejsca w jednym tytule nie zagrzewali. Zdarzało się, że po wyciśnięciu, jak z cytryny albo pomarańczy, soków z takiego osobnika, po prostu się go pozbywano. Albo też przychodził moment, że należało „kogoś zwolnić”, bo przychodził na to czas. Nieważne, że

zespół był kompletny i zgrany; na kogoś wypadało i być. Bezwzględnie stosowana praktyka, o której było wiadomo, no i łatwo sobie wyobrazić gęstniejącą atmosferę w nie-dużym zgranym zespole redakcyjnym wysokonakładowego, dochodowego pisma. A gęstniejącą tylko dlatego, że zespół już dość długo pracuje w niezmiennym i niewzruszonym składzie i niebawem naczelny ogłosi zmianę, czyli wymianę w kadrze. Nie zdarzało się to w wydawnictwie Prószyński i s-ka, które wymyśliwszy szalenie dochodowy *Poradnik Domowy*, zaczęło dokupywać tytuły, pozostawiając naczelnym wolną rękę w prowadzeniu zespołów. Sam Mieczysław Prószyński, powszechnie nazywany Bimonom (jeśli ksywa miała go kojarzyć ze skoczkiem w dal, rekordzistą świata, to powinienem napisać – Beamon), zresztą astrofizyk z wykształcenia, z upodobaniem czytał redakcyjne teksty po to, by poprawiać błędy językowe. Korekta sprawiała mu to wyraźną przyjemność. Dbał też, razem z trzema swoimi współnikami, o to, żeby stawki za pracę w redakcji i honoraria autorskie nie były niższe od tych, jakie płacili właściciele bogatych wydawnictw zagranicznych na naszym rynku.

Po tej sekwencji prasowej wróćmy do Artura. Mecenasem i opiekunem finansowym piwnicy Turalskiego został Krzysiek Wolski, właściciel korporacji taksówkowej i magazynów hurtowni na Woli. Niebawem po rozpoczęciu gruntownego remontu piwnicy Krzysiek poleciał do Stanów Zjednoczonych i nie chciał jakoś wracać. No i bardzo długo trzeba było czekać na pierwszy z praw-

dziwego zdarzenia wernisaż tutaj zorganizowany. Pewnie dlatego, że piwnica leżąca „na szlaku” pomiędzy Placem Trzech Krzyży a Rynkiem Starego Miasta, notorycznie odwiedzana była w godzinach świtu przez knajpianych gości, czyli niedobitków - niedopitków. Jeszcze w trakcie jej posiadania, a trwało to ze dwa lata, Artur wystarał się o piwnicę w starej willi przy Obrońców na Saskiej Kępie, parę kroków od kawiarni Sax. A dwa piętra nad Turalem mieszkali państwo „aktorostwo” Jacek i Barbara Bursztynowiczowie. Artur otrzymał wkrótce propozycję uczenia rysunku ich córki. Zazdrosna była jego Patrycja, a z kolei on martwił się, że ona podoba się Jackowi.

Udzielanie lekcji rysunku była dla Turala relaksem. Dla relaksu i dla kasy było też dla niego siłowanie się na rękę. Nie miał sylwetki zwalistego karczycha, za to dysponował żylastym ramieniem artysty rzeźbiarza, po stoczeniu wielkiej ilości walk z granitową skałą, czy ciężkim do wzruszenia żelastwem. W kawiarniach przy Francuskiej klimatu do takich pojedynków nie było, ale już w Harendzie tak. Zdarzyło się, że lokalem tym wstrząsnął ryk godny zranionego byka, a była to reakcja pewnego piwosza z Monachium, wcześniej zbyt pewnego siebie, na przegraną walkę na rękę z Turalem. A kibice stawiali na Bawarczyka, choćby z powodu wielkiej różnicy obwodu bicepsów walczących. Najbardziej klimat i ludzie sprzyjali w Klubie Harleyowców pod Mostem Poniatowskiego. Artur lubił tam chodzić, bo lubił chłopaków z motocyklami. Raz tylko przykleił się do pleców motocyklisty prowadzącego hondę 1000 albo coś

podobnego, przelecieli Wisłostradą gdzieś do Łomianek i z powrotem i artysta miał dość takich jazd. Za to chętnie zasiadał w pubie harleyowców i nieświadomi Żyłatego Ramienia przybysze przyjmowali wyzwania walki na rękę. Prawie nigdy nie przegrywał, bo intuicja nieomylnie podpowiadała mu z kim może przegrać i wtedy walki nie podejmował.

Sax trudno było nazwać kawiarnią literacką. Za kompletnie przeszkloną ścianą, na poziomie trotuaru sześć stolików, barek z przejściem obok po schodkach w górę do następnej salki, gdzie można było zjeść i spokojnie pogadać, na przykład o interesach. Kawiarnia miała raczej charakter takiego niemieckiego Gasthausu, gdzie od rana spotykają się mieszkańcy okolicznych domów, można wziąć na kreczę, zawsze są znajomi i panuje atmosfera wzajemnej życzliwości. W polskim języku jest znacząca przewaga określeń pejoratywnych, epitetów obraźliwych, od życzliwych i oceniających pozytywnie. Tym nasz słownik wyróżnia się pośród słowników innych nacji. Ale ta reguła, myślę o częstotliwości używalności, nie sprawdzała się na Francuskiej. Rzadko słychać było wśród miejscowych i bywalców, zdań z zawartością zawistnych treści przybarwionych żółcią, a także epitetów zjadliwych, obraźliwych i zanieczyszczających klimat.

Do Saxa przychodzili oczywiście ludzie ze świata, „ludzie z miasta” też. Latem kilkanaście stolików wystawianych jest na zewnątrz. W czasie, kiedy zacząłem tu wpadać, a później niedaleko zamieszkałem, bywała w Saxie często

Agnieszka Osiecka. Prasa czasami wspominała o Saxie przy okazji wywiadów z Agnieszką, więc zaglądali tu jej fani, a właściwie fanki, gdyż najczęściej były to dziewczyny i dojrzałe kobiety również. Napisałem, że trudno nazwać tę kawiarnię literacką. Pewnie również dlatego, że nie było tu atrybutów sztuki literackiej, bo spory o literaturę, krytyczne rozmowy na temat tekstów piosenek, dysputy filozoficzne i zapisywane na serwetkach teksty, które potem poznawała cała Polska – wszystko to w Saxie było. Do roku dziewięćdziesiątego był to bar o nazwie „Podhalański”, a jego właściciel przeniósł się do Kanady, przekazując w posiadanie lokal jednej z pracujących w nim pań.

Warszawski Czytelnik bardziej przypominał jadłodajnię niż kawiarnię literacką, a funkcję kawiarni literackiej bez wątpienia spełniał. Król tego lokalu, Tadeusz Konwicki (nie wiem, czy jest na to jakiś niezbity dowód) niegdyś wypowiedział w nim taki tekst: „Dzień za dniem powoli mija / coraz dłuższa życia szyja/ każdy z każdym się pier.... oli / my w niewoli, my w niewoli”. Bywalcy przy stolikach na Francuskiej mieli nie mniejsze od pana Tadeusza poczucie humoru. Na własny użytek powstał tekst o pewnej pani: „Dzień za dniem powoli mija / marszczy, oj marszczy się szyja / dzień za dniem powoli mija / a ona ciągle niczyja.” A pan Tadeusz mieszka w sąsiedztwie Nowego Świata i chętnie o nim, zakrzywionym jak turecka szabla, opowiada.

Wspomniałem chwilę wcześniej o „ludziach z miasta”. Tacy ludzie na pewno częściej byli gośćmi niedalekiego

Paryskiego, ale i Sax często odwiedzali, bo programowo lubili „artychów” i lubili zachować się z gestem. Wyczuć można było rodzaj wzajemnego, nie bójmy się tego słowa, podziwu. I jedni i drudzy chętnie opowiadają z fantazją o akcjach, które udało im się przeprowadzić. Przykładem gościa z gatunku artystów, darzącego dużym zainteresowaniem ludzi robiących interesy na mieście, był Staszek Sojka. Wpadał często na Francuską, tu też powstawały jego piosenki, w końcu kupił sobie mieszkanie przy tej pięknej ulicy. Stał się wtedy stałym bywalcem Saxa. Czytając poranną prasę często spoglądał na ludzi w jedwabnych garniturach, wpadających na szybkiego „dranka” i dzielących się swoim grepsem opiniami o ostatnich materialnych zdobyczach, aż któregoś dnia westchnął, że gdyby tak zrobić skok, to byłoby ciekawie. Skoku nie zrobił, ale regularnie zakładał jedwabne garnitury. Miał wielu przyjaciół wśród artystów plastyków i kupował od nich obrazy, płacąc dobrą cenę, za co bardzo go ci artyści cenili. Sam wyznawał zasadę, od której nigdy nie odstępował, koncertowania za godziwą stawkę, nie podlegającą negocjacjom.

Stoliki przy Francuskiej łączą. Staszek zamieszkał prawie naprzeciw Saxa. Tuż obok wynajmował mieszkanie nieżyjący już, pokonał go rak mózgu, Jurek Lociński, prawdziwy znawca dzieł sztuki i człowiek biznesu. Oczywiście poznali się przy kawiarnianym stoliku. Staszek urządzał swoje mieszkanie, sam smak zawsze miał, a ponieważ zagospodarowywał swoje prywatne lokum meblami z patyną, zdał się na Jurka w ocenie ich wartości. Panowie robili wy-

pady na Koło, czyli słynny warszawski targ staroci, albo we wskazane przez Jurka miejsca. Ostatecznie zakupy były udane, nasłuchiwały się o tym stoliki, a Staszek poznawszy Jurka, miał na pewno okazję dowiedzieć się, jak można nieźle zarobić będąc ekspertem w ocenie wartości dzieł sztuki. Znawca dzieł sztuki otrzymywał dowody wdzięczności od ludzi, niekoniecznie tych z miasta, za opinię przy zakupie mebla, obrazu, biżuterii, czy perskiego dywanu.

Taki wniosek wypływa, że sztuka z biznesem łączy się i nawzajem są sobie potrzebne, jakby się uzupełniając. Jurek, dzięki swemu koneserstwu, a przy okazji przyplwom naprawdę konkretnej gotówki, potrafił z miesiąca na miesiąc kupić mieszkanie na poddaszu na Mokotowie albo też dom nad Śniardwami. Ten drugi chętnie odwiedzali w celach wypoczynkowych Staszek z Turalem; a na poddaszu pisał wspólnie z Jurkiem scenariusz telewizyjnego sitcomu dla stacji Polsat, który reżyserować miał Filip Bajon. Ale o tym później.



Marek Samselski jest autorem bajek, piosenek i zagadek dla dzieci wydanych w książkach i na płytach, a łamigłówek publikowanych w czasopismach oraz pomysłodawcą i prowadzącym warsztaty twórcze „I ty możesz zostać bajkopisarzem”. Wydanych zostało już sześć książek ze zbiorami bajek, których autorami są młodzi uczestnicy tych warsztatów. Tytuł jednej z książek, brzmi: „W bogactwie myśli, bogactwo słów”. To piękne zdanie, sentencja warta zapamiętania.